ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej i wiadomościom literackim.

Rok VI. Warszawa, dnia 28 Marca 1914 roku № 13.

Andrzej Strug.

„Pieniądz".

Wszelkie prawa autorskie i wydawców zastrzeżone.

13

Powieść z obcego życia.

Lyttonowie poznali kolegów klubistów z E. A. C. i z U. S. A. C. i wzruszeni, ściskali naprawo i nalewo wyciągające się prawice. Wśród ogólnego rozczulenia senior wspinaczy, reverend, „Ksiądz milionów" nakazał gestem ciszę i rozpoczął kwiecistą mowę.

Reverend sadził się na dowcipy, dosyć owszem przyciężkie, wstrząsał ramionami i wśród ogólnego śmiechu i oklasków zakończył przemowę:

— ...Jest hasłem kolegów naszych z C. A. F.: — „par la montagne — pour la patrie". Przez góry dla ojczyzny, a ja, osoba duchowna, mówię ci, Lytton ojcze i Lytton synu: — Przez góry do nieba. Dobrą sprawę czynicie!

Wieczysta nagroda was nie minie — oby jaknajpóźniej! Obyście zdążyli zwiedzić, wdrapać się i zejść szczęśliwie, wraz z pamiątkowemi kamieniami swojemi, ze wszystkich szczytów kuli ziemskiej, których jeszcze nie znacie. A dla upamiętnienia wielkiego dnia, my tu obecni koledzy wasi, nierówni wam zasługą i maluczcy, ale równą miarą góry całego świata miłujący, składamy w darze do jedynego na świecie muzeum waszego drogocenny kamień pamiątkowy, najrzadszy z wyjątkowych i zupełnie, że tak powiem, nieprawdopodobny — gdyby nie to, że spoczywa oto tutaj, w tym koszu — kamień urwany z najwyższego południowego szczytu...

Tu dwaj kelnerzy z knajpy „Zum Rothhorn die Zinal", stałej kwatery tutejszych alpinistów, dźwignęli z wysiłkiem za uszy i postawili przed oszołomionym ojcem i synem kosz, z którego wyłaziła łysa głowa wielkiego głazu, porośniętego zielonym narostem.

A reverend podniósł głos do najwyższej potęgi i wrzasnął:

— ...Ze szczytu wulkanu Eratosthenesa na księżycu!

— Brawo! Brawo!

— Hurrah!

Zagrzmiały oklaski tłumu, zawyły rogi alpejskie i dopiero wśród burzy śmiechu wszystkich obecnych pierwszy ojciec poznał się na rzeczy. Syn zapamiętale ściskał ręce znajomym i nieznajomym, wołając: hurrah!

A Lytton ojciec wyszczerzył kolosalne zęby, jak ziewający koń, i zaczął ryczeć tubalnym śmiechem. Syn zawtórował mu natychmiast. Nowe uściski i wiwaty.

Żart przyjęty był najserdeczniej. Wszyscy klubmani i niemało nieznajomych, którzy się podwinęli w tłumie, zostali zaproszeni na ucztę pamiątkową. Zaczęto się już rozchodzić, wciąż przy wyciu rogów alpejskich, kiedy pochodowi zastąpiło drogę odświętnie ubrane przedstawicielstwo gminy St. Nicolaus.

Pokłonili się nizko i gruby, rudy syndyk Gaspard Wegui, właściciel oberży „Randa", rozpoczął chrapliwym głosem uroczystą przemowę:

— Dla gminy St. Nicolaus, dla Zermatt i dla całego świata obecność tak znakomitych gości jest niezmiernym zaszczytem. Nawet samemu Bogu jest miłym człowiek, który tak kocha góry. I on, Gaspard Wegui, kocha góry, choć nigdy w nich nie był, ale to tylko dlatego, że nie ma czasu. To też zarząd gminy jeszcze raz dziękuje znakomitym panom za przybycie i tego roku w te strony i winszuje szczęśliwego powrotu w imieniu gminy. Ale w imieniu gminy czuje się w obowiązku prosić znakomitych gości — którzy są tak bogaci, że mogliby kupić cały świat — żeby zechcieli wykupić ów kamień, który jest własnością gminy. Gmina uboga, grunt nic nie rodzi, krowy chorują...

— Ojcze, on ma zupełną racyę. Płacimy!

— Płacimy, Billy. On ma zupełną racyę. Ile gmina żąda za kamień, panie wójcie?

— O, to już co pańska łaska.

— Jaka łaska? Święcie się wam należy. Ile?

— Oj, a bo my wiemy?

— Jakto? Nie wiecie? U nas, jak się komu co należy, to wie, ile, co do grosza. Gadajcie.

Deputacya była zupełnie zmieszana. Nie byli przygotowani na podobne pytanie. Szeptali między sobą i trącali się łokciami.

— Cokolwiek — bo ja wiem, już jak tam państwo zezwolą.

— Ojcze, płacimy od wagi!

— Tak, Billy! Wiele chcecie za kilo kamienia?

— Za kilo? Jakto? Boże miłosierny... Za kilo?

— Chyba to jasne...

— Wiele dla was warto?

— Dla nas, proszę łaski państwa, prawdę rzekłszy, nic nie jest warto, ale dla państwa warto, jeżeliście tyle fatygi i kosztów na to stracili.

— On jest mądry! Billy, co ty na to?

— On jest mądry. Dla mnie warto dziesięć franków kilo.

— Co? Kamień z Matterhornu? Co ty za głupstwa pleciesz? Gdybym go tak cenił, nie pracowałbym tak ciężko, żeby go dostać! Gdybym tak oceniał — to nasze muzeum byłoby błazeństwem! Billy — powiedziałeś głupstwo!

— Powiedziałem głupstwo, ojcze. Niech będzie sto franków.

— Dla nas warto sto franków. Słyszycie? Sto franków za kilogram netto. Dosyć?

Rozległy się brawa i okrzyki. Przedstawiciele gminy nie mogli zrozumieć, o co chodzi. Wśród publiczności spierano się o wagę bloku skalnego. Jedni mówili — sto kilo — inni mniej. Tragarze twierdzili, że conajmniej sto pięćdziesiąt. Zakładano się o ścisłą cyfrę. Chorzy na

wątrobę, pedanci, moraliści oburzali się na to rozpasanie. Śmieli się wszyscy i robili kawały.

Profesor Müller — chaldeolog z Jeny, profesor Müller paleograf z Fryburga, profesor Müller — badacz pasożytów gronostaja z Królewca, pchali się wraz z innymi na dworzec kolejowy — ważyć kamień. Deputacya gminy, porażona niewiarogodnem szczęściem, wlokła się w strapieniu.

VIII.

Derjac ojciec wyciągał z szaf i spiesznie pchał do kufrów wytworne garnitury, przybory tualetowe, wykwintną bieliznę i mnóstwo wielkopańskich drobiazgów. Derjac syn pomagał mu, Hans we fraku liberyjnym i w białych pończochach siedział w fotelu i palił cygaro. Jego szerokie, wygolone i zwykle pełne uprzejmej godności lokajskiej oblicze było ponure i zawzięte. Patrzył, jak zbój.

— Trudno, Hans. Bo to ci już raz w życiu, lepszy przypadek, pierwszy-lepszy psubrat łapacz nie popsuł najmądrzejszego planu? A tu wszystko i bezemnie powinno iść, jak w zegarku. Ja już zrobiłem swoje, teraz jadę robić resztę, a to niemała rzecz...

— Głupstwo. Ale jeżeli nie nakażesz mu tu, w moich oczach, żeby on mnie słuchał, jak pies...

— Będzie słuchał!

— Niech tu przy mnie to przyobiecą! Gadaj! Inaczej i ja stąd jadę. Niech dyabli biorą wszystko!

Derjac syn zagwizdał i spojrzał drwiąco na Hansa.

— Powiedz mu, żeby zaraz, natychmiast, jak się tylko uda, oddał ćtui mnie, do rąk własnych. Miał oddać tobie, a teraz niech odda mnie.

— Oddasz synku! Rozumiesz? Oddasz! Oddasz, miły chłopcze, bo i cóżbyś z tem zrobił? Złapaliby cię w tydzień.

— Powiedz mu, żeby przestał się widywać z niejaką panią Morede.

Na to dopiero Derjac syn skoczył, jak oparzony. Roześmiał się nieco zagłośno.

— Ha — ha — ha! Hans zazdrosny! Proszę cię, nie zaglądaj ty do moich spraw romansowych!

— Powiedz mu, żeby przestał kpinkować, bo ja wiem wszystko i zaraz mu to powiem w same oczy.

— Moi drodzy, rozmawiajcie ciszej, jeśli łaska... Co ty wyrabiasz, miły chłopcze? Chcesz się zgubić? Po co podobne rozmowy i kłótnie? Zrobisz co do joty tak, jak mówi Hans! Rozumiesz? Ja każę! Jeszcze raz ci radzę: słuchaj mądrzejszych od siebie. Słuchaj, słuchaj — bo zginiesz marnie! Bądź uczciwym wspólnikiem, dotrzymaj umowy. Potem jesteś wolny, możesz się rządzić własnym rozumem, ryzykować, zginąć, wpaść im w ręce, ale teraz — wiara ci! Słuchać!

Derjac syn przywarował. — Nie wiedzą! Nic jeszcze nie wiedzą, tylko ten fagas coś przewąchał zdaleka. Gdyby wiedzieli...

— Dobrze. Będę słuchał. A dama podoba mi się, nic więcej. Nie jestem eunuchem.

— Dobrze, synku! Wszystko pięknie — tylko słuchaj! Z ową damą niewolno ci się więcej widzieć. Zrozumiane?

Derjac syn zacisnął zęby i zwarł się w sobie. Nie odezwał się już ani słowem. W pokoju zapanowało ciężkie milczenie. Stary kończył pakowanie, Hans siedział ponuro i zawzięcie dymił cygarem.

— No, czas na mnie.

— Jedź szczęśliwie! A nie zrób gdzie po drodze głupstwa. Jesteś zdenerwowany...

— Nie bój się, Hans. Bylebym stąd ruszył bez jakich głupich przeszkód i pojechał „czysty".

— Bo to ci pierwszyzna?

— Stary jestem i już nie chcę. Za nic nie chcę! Pamiętam moje dziesięć lat...

— Ja siedziałem piętnaście i — wszystko mi jedno. Zupełnie podawnemu.

— Gadaj zdrów.

— Trzymajże się!

Hans wyciągnął rękę, potrząsnął starego mocno, wstał, rzucił cygaro. I jak na próbie teatralnej, momentalnie przeobraził się w lokaja.

— Każę znosić rzeczy. Za kwadrans odchodzi pociąg.

— Niech się tam zwijają! A patrz dobrze, Hans, wytrzeszczaj oczy.

— Idziemy, synku. Oglądają się! Uważaj od samych drzwi, w westibulu, po drodze. Na stacyi szczególniej! Jego samego nie szukaj. Jeżeli poznał — to naszle innych. No, w imię Boże. A zostaw tu brauning. Nie chcę żadnych głupstw! Rozumiesz? Zostaw natychmiast!

Kiedy pociąg ruszył, Derjac syn odetchnął swobodnie. Na peronie dał jeszcze pańskim tonem parę poleceń Hansowi i odesłał go do hotelu. Hans posiniał ze wściekłości, ale cylinder trzymał w ręku, według wszelkich zasad urzędu lokajskiego.

Poszedł główną ulicą, już pustą o tej porze. Od lodowców ciągnęło mrozem. Było mroczno, zimno, ponuro. Matterhorn, przecięty przez pół ukośną smugą mgieł, świecił wśród nocy, jak widmo. Wiała od niego potęga śmierci, bezwzględne, spokojne okrucieństwo. W owej chwili Derjac patrzył nań z rozkoszą.

Ten ponury, potężny widok porwał go ku sobie, jakby spojrzeniem porozumienia, jakby dalekiem wołaniem. Być mocnym, złym, dla całego świata obcym. Wieczna samotność!

Nosić w sobie tajemnicę, drwić z ludzi, ścierać tych, co staną na drodze, a kochać wieczystą, nienasyconą żądzą wolne, głębokie, jak otchłań, pełne cudów i tajemnic, jak morze bezbrzeżne — życie!

Porwał go szał marzenia. Jak pijany, zapomniał na chwilę, gdzie jest. Utonął w tłumie wyśnionych obrazów. Odurzył go gwar głosów, wrzawa owego dopiero być mającego, nowego, bujnego życia. Wołała go tam rozkosz pychy, rozkosz użycia i rozkosz szyderstwa z całego świata.

Mknąć przez życie z zawsze obecnem w duszy, nieutrudzonem męstwem, sunąc błyskawicą, jak po cienkim lodzie. Ani razu nie poślizgnąć się, ani razu się nie załamać! A wkońcu, żeby doznać już wszystkiego, kiedyś, w jakiejś dobrej chwili, własnowolnie i pogodnie utonąć w nicości...

Derjac szedł szybko przed siebie, spiesząc się, jakgdyby dążył ku swemu marzeniu, które tuż, niedaleko biegło przed nim w pląsach, lekko, jak swawolna dziewczyna. Minął hotele, ciemne kawiarnie, pozamykane sklepy. Wyszedł między ogromne i rozkraczone, ciężkie chałupy szwajcarskie, gdzie wszystko już spało o tej porze.

Droga zaczęła się piąć ku górze. Zwolnił kroku, przystanął, odpoczywał.

W Zermatt przygasały światła. Nad osadą snuły się opary. Drzemały nieforemne, ciężkie gmachy hotelowe. Tylko na stacyi kolejowej jarzyło się jedno jaskrawe światło.

Na uboczu, na wyniosłości, przez lekką mgłę, biły potoki blasku od „Astoria-Palace", gdzie w głównej sali ojciec i syn Lyttonowie podejmowali królewską ucztą kwiat i wybór świata alpinistycznego.

Oczy Derjaca zapaliły się, jak u wilka w ciemnościach. Ale nie uderzyła w niego gorycz zazdrości, ani rozpacz bez siły. Znikły wszystkie rzeczy wymarzone, kuszące obrazy tego, co być miało kiedyś. Gdzieś się podziała przeszłość, tylekroć rozważana ze wstrętem. Została jeno chwila obecna.

Rozpętywała się w nim dzika energia, ta, która waży się na wszystko, która tysiąc razy z kolei postawi wszystko na jedną kartę, a wygra, która przełamie nawet nieprawdopodobieństwo, zada kłam prawom natury.

Kiedy tak patrzył świecącemi od namiętności oczami ku siedlisku wroga, widział poprzez mury miejsce, gdzie się kryje jego skarb. Chronią go i strzegą ludzie potężni. Bronią go wymyślne, mocne zamki, mrowie czujnej służby. Broni go prawo i policya całego świata i prasa wszelkich języków, która szukać będzie zaginionego skarbu na wyścigi z władzami porządku. Broni go sama niezmierna jego wartość, z którą na całym szerokim, przebogatym świecie ciasno się uczyni człowiekowi, co go ludziom wydrze i porwie ze sobą.

Ale on w owej chwili napięcia wiedział, że przezwycięży wszystko.

Wiedział, czuł niezłomnie, jakgdyby w jasnowidzeniu już widział ów niewiadomy dzień i ową godzinę, kiedy spełni się jego dzieło. Gdzie? Jak?

Tego nie wie mądry szef, budowniczy genialnych planów, znawca ludzi i wszelkich spraw ludzkich. Nie wie szczwany Hans, genialny aktor na strasznej scenie życia, człowiek o stu głowach, który potrafi być lokajem i ministrem środkowo amerykańskiej republiki, żebrakiem i milionerem. Na to ślepa jest cała wiedza mądrych łupieżców, co niejedną ciężką sieć zdobyczy wyciągneli z morza ludzkiego bogactwa. Nie przez długie lata więzienia, nie przez olbrzymią pracę myśli samotnej i odciętej od świata nabywa się cnót tygrysich. Jeden skok!

Tygrys się zdobyczą nie dzieli. Tygrysowi nikt łupu nie wydrze, chyba wraz z życiem. Co po życiu bez czterech milionów?

Derjac szedł ostrożnie i rozglądał się w ciemnościach. Dostrzegł nędzne światełko pod samym szczytem wielkiej chaty góralskiej. W oknie z lewej strony stała świeczka. Zakasłał; jakaś ręka schwyciła świecę.

— Ty?

— Ja!

Uczta Lyttonów przeciągnęła się do północy. Dyrekcya, skuszona wielkim zyskiem, pytała wprawdzie uprzednio najznakomitszych gości o pozwolenie na urządzenie tego obchodu, na który zresztą wszyscy obecni w „Astoria Palace" goście otrzymali osobiste zaproszenia. Ale nie przypuszczano, że rzeczy zajdą tak daleko. Lyttonowie sprowadzili mnóstwo dzielnych alpinistów, którzy w górach nie mieli sobie równych, ale w salonie wyglądali nieco osobliwie. Właściwa pijatyka zaczęła się dopiero po kolacyi. Gromada przewodników i tragarzy, którzy, jako towarzysze wyprawy, zaproszeni byli przez demokratycznych milionerów, nawykła tylko do cienkiego piwa, niebawem wytrącona została z ceremonialnej rezerwy i zakłopotanego milczenia przez niesłychane wina.

Ich donośne głosy huczały pod malowanem sklepieniem salonu, jak na hali. Siedzieli pijani zupełnie przedstawiciele gminy St. Nicolaus. Co chwila zrywały się śpiewy gromadne i chrapliwe jodlowania, które napróżno starał się powstrzymać przerażony i sam nieco pijany przy okazyi dyrektor zakładu.

— Idź pan do dyabła!

— Niech się pan zlituje! Nasz dom straci całą renomę! Są goście...

— Podać w rachunku!

— Niech pan patrzy, co oni robią z dywanami, z posadzką, te okute buty...

— Podać w rachunku!

W jednym kącie Franz Inaebnit, słynny na cały świat stary przewodnik, opowiadał grzmiącym basem o pierwszem swojem wejściu na Schreckhorn.

Słuchano go, jak proroka. Alpiniści angielscy kłócili się z francuzami o wyższość Oberlandu nad Sabaudią. Pewien holender obraził się śmiertelnie na wspinacza tyrolskiego, gdy ten spytał go o najtrudniejsze wejście w jego kraju. Zataczając się, szukał sekundantów błędnem okiem. Towarzysze godzili ich już od godziny, krzycząc i pijąc.

Pito zdrowie jednego z obecnych, który był na Aiguille de la Republique, malarza włoskiego, Escarpy, i tego, który pierwszy i jedyny na świecie zrobił pierwsze wejście na coś, jeszcze bardziej niesłychanego.

Wygłaszano mowy komiczne i najpoważniejsze, z których właśnie śmiano się najbardziej. Wrzawa panowała, jak na jarmarku. Goście ustawicznie kręcili się po korytarzach, po westibulu, po tarasie, wchodzili, wychodzili, wracali. Ucztowników ubywało i przybywało. Niewiadomo, kto był zaproszony, a kto się zaplątał przypadkiem. Wszędzie snuli się przewodnicy, palący cygara po pięć franków sztuka.

W apartamentach lady Hartley jeszcze nie spano. W półmroku sypialni Mariette czytała swojej pani jakąś francuską książkę. Jej matowy, nizki głos modulował przedziwnie frazesy jakiegoś subtelnego miłosnego dyalogu. Drgał uczuciem, dyszał namiętnością i szeptał, zamierał, budził się.

Lady Hartley spoczywała w fotelu bujanym, kołysząc się nerwowo. Nie odrywała oczu od cudnej dziewczyny.

Mariette w swoim szarym peniuarze, zapiętym pod samą szyję, z odrzuconemi w tył krótkiemi czarnemi włosami, z puszkiem nad górną wargą...

Te bujne, ciemno-pąsowe usta, szepcące przepiękne słowa, pełne ognia i grzechu.

— ...Są w rozkoszy tajemnice i w tajemnicy spoczywa rozkosz. Nikt na całym świecie nie ma znać, kogo kochasz, ani co kochasz w kochaniu. Rozkosz jest twoją, jak puszcza, która nie oglądała jeszcze człowieka. Noc i przysięga ją kryją. Niechaj będzie, jako sen, gdzie się stają rzeczy niepojęte. Niech w niej będzie dziw i cud, niech będzie bez nazwy i imienia. Niema w grubym ludzkim języku słowa równego jej świętej zdobyczy. Płoń, jak ofiara całopalenia na ołtarzu najpotężniejszego bóstwa! Ukórz się! Poddaj się! Na kolana przed tajemnicą...

I lady Hartley uniosła się z głębokiego siedzenia, wstała porywczo, zawahała się i, jakby zniewolona, padła u stóp lektorki, objęła ją drżącemi ramionami i ukryła twarz na jej kolanach.

Urwało się czytanie. Miękka, mocna dłoń spoczęła na jej głowie.

— Ada...

— Mariette, Mariette!...

Pani i dama do towarzystwa od paru dni były już ze sobą na „ty".

. . . . . .

DCN.

WŁ. J. BRODZIKOWSKI.

Katarzyna Sforza.

Z pod pyłu zgasłych wieków twa postać wykwita,
Jak pyszne słońce wiosny za mgieł srebrną ramą,
Małżonko gwałtownego grafa Girolamo,
Monarchini na Forli, pani jadowita!

Cezar Borgia, plejada dożów znamienita
I Ludwik, ów król Gallów wytworny i blady,
Runami pocałunków znaczyli twe ślady,
Prosząc o słodycz łaski za śmierć faworyta.

Pomściłaś ich. Szaleńcy, z obłędną ekstazą
Sławiący cię, nie pili twoich ust opiumu,
Nikt nie wtargnął do krasy twej złotego tumu...

Twoje piersi, spowite w mgłę, były oazą
Z lilii i z róż... O włosów twoich mrocznym borze
Słychać pean zawrotny li w mórz rozgoworze.

Z CYKLU „DUSZE".

Znużenie.

Moja dusza dziś tęskni do parków ustroni,
Do miękkich pieszczot słońca, do chóru praborów,
Do ciepłych pocałunków lipcowych wieczorów —
Tęskni, jak biała mewa, do modrych mórz woni.

Jak wiatr, chciałaby błądzić po polach, gdzie w pełni
Nad kitami zbóż srebrnych cichy miesiąc wstaje,
I chciałaby odwiedzać konające gaje
I iść schylona brzegiem rzeki, co się wełni.

Moja dusza, jak harfa, snami rozdźwięczona
Do złotych zamków słońca wyciąga ramiona
I tęskni, słysząc dziwne, tajemnicze sagi...

I odchodzi od ziemi, jak anioł skrzydlaty,
Zapatrzona w błękitnych gwiazd archipelagi — —
I zasypia w objęciach marzenia — jak kwiaty.

Hall Caine.

Dana od Boga.

Przekład z angielskiego H. J. P.

13

Powieść w 3-ch tomach.

Rozdział XXVII.

Panie O'Neill — rzekł Ojciec Dan—czy wolno będzie proboszczowi twej parafii powiedzieć tu słów parę?

Mój ojciec odmruknął coś w rodzaju przyzwolenia, i nagle uczyniła się wielka cisza w jadalni, a mnie się wydało, że i wichura przycichła również.

— Słyszeliśmy tu wiele o zawartem dziś małżeństwie — zaczął Ojciec Dan, — ale czy słyszeliśmy wszystko? Czem że jest małżeństwo? Czy dopełnieniem kontraktu? Czy podpisaniem umowy? Czy nawet złożeniem przysięgi przed ołtarzem? Nie. Małżeństwo jest świętą spójnią dwóch dusz, które się wzajem wśród innych szukały i dobrały, by żadne nieszczęście, żadna burza życiowa, żaden nawet występek jednej lub drugiej rozłączyć ich nie mogły. Oto, czegośmy dopełnili dzisiaj, czego byliśmy świadkami, i nietylko my, lecz i sam Bóg Wszechmogący.

Serce biło mi gwałtownie, podniosłam głowę i mimowolnie spojrzałam na biskupa. Twarz jego zdradzała niezadowolenie.

— Panie O'Neill — zawołał Ojciec Dan podniesionym głosem — powiadasz pan, że córka twoja ma wielki majątek, a mąż jej wielkie nazwisko i że niczego im więcej na świecie nie trzeba. A ja ci mówię, że im jeszcze czegoś potrzeba. Potrzeba im miłości, miłości obopólnej, jeżeli mają być szczęśliwi, i że to jest skarb cenniejszy nad pieniądze, stanowisko i zaszczyty.

Spuściłam znów głowę; ale poprzez rzęsy widziałam, że całe zgromadzenie siedzi, jak skamieniałe, tylko mój mąż kręcił się niespokojnie na krześle, a biskup szarpał swój złoty łańcuch.

— Pomyślmy, czem jest małżeństwo dla niewinnej dzieweczki— mówił dalej Ojciec Dan. — Jest potarganiem dawnych węzłów, rozpoczęciem nowego życia, wstąpieniem w nieznany świat, z którego powrotu niema. Słaba i bezradna porzuca jedna zależność dla drugiej, opiekę ojca dla opieki męża. A co przynosi człowiekowi, którego poślubia? Siebie, wszystko, czem jest, wszystko, czem być może, by to rozwinął, udoskonalił, lub sponiewierał i zmarnował.

Serce waliło mi, jak młotem; oczy zasnuły się mgłą i coraz niżej, niżej chyliłam głowę pod dziewiczym wieńcem.

— Przyjaciele! — wykrzyknął Ojciec Dan — mało wiemy o panu młodym w naszej parafii, ale znamy dobrze pannę młodą. Rosła w naszych oczach. Wiemy, kim jest. Ja przynajmniej to wiem. Panie O'Neill, pan jesteś jej ojcem; ale i ja nim jestem również. Byłem w tym domu, gdy się rodziła. Ochrzciłem ją. Więc uważam ją za moje dziecko i kocham.

Głos mu się złamał, a mnie łkania rozsadzały piersi. Widziałam go mętnie przez łzy, jak wyciągnął drżącą rękę w kierunku mego męża.

— A teraz, gdy ma nas opuścić, gdy ją nam mąż zabiera, zaklinam cię, milordzie, byś był dla niej dobrym i wiernym, odpowiesz bowiem kiedyś za jej duszę.

Umilkł i nastąpiła długa, przykra cisza. Towarzystwo całe było jakby zwarzone; ojciec mój miał kwaśną minę, a mąż mój mruknął coś o „kazaniu".

Było w programie, jak mi to później powiedziała Betsy, że pan Eastcliff miał wznieść zdrowie druchen, i już był sobie przygotował odpowiednią mówkę, lecz odpadła go ochota wygłosić ją teraz. Wreszcie ojciec spojrzał na zegarek, mówiąc, że już pora nam jechać, jeżeli mamy zdążyć na parowiec, a ja skorzystałam z tego, by pobiedz coprędzej na górę przebrać się.

Gdy znów zeszłam na dół w eleganckim, podróżnym kostyumie, przybranym sobolami, całe towarzystwo skupione było w hallu. Rozpoczęły się pożegnania. Nessy Mac Leod powiedziała mi na stronie, że mam ojca, jakiego drugiego świat nie widział. Betsy szepnęła, że pan Eastcliff jest tak zachwycającym, i się sobie wzajemnie podobali, że powinnam go zaprosić koniecznie do zamku Raa, gdy wrócę. Ciotka Brygida, otoczona gronem pań (wśród których znajdowała się i lady Margaret, widocznie siląca się na uprzejmość), obcierała oczy, mówiąc, że byłam zawsze jej ulubienicą i że opiekowała się mną, jak najrodzeńszą córką.

Tymczasem zajechały dwa samochody. W pierwszym pojechał lokaj mojego męża, do drugiego mieliśmy wsiąść oboje. Pocałowałam się ze wszystkimi; Tommy Majtek otworzył drzwi wchodowe i trzymał je silnie, mocując się z wiatrem, i już przestąpiłam próg, gdy nagle przypomniałam sobie Ojca Dana. Stał w najciemniejszym kącie przy drzwiach, w swej zniszczonej sutannie i z zatroskaną twarzą. Chciałam mu się rzucić na szyję, ale światowa przyzwoitość nie pozwoliła mi na to; uklękłam więc tylko i pocałowałam go w rękę, a on mnie pobłogosławił. Mój mąż, stojąc przy sapiącym automobilu, rzekł niecierpliwie:

— Chodź już, chodź, moja droga, nie trzymaj mnie na deszczu.

W chwilę potem jechaliśmy już aleją pod kasztanami.

Rozdział XXVIII.

— Dzięki Bogu, że to się już skończyło — rzekł mój mąż. Poczem, niby usprawiedliwiając się, dodał:

— Ciebie to również nie bawiło bardzo, jak uważałem.

Na wstępie do naszej wsi gromadka mężczyzn strzelała w górę z dubeltówek; było też tam kilka dziewcząt, które przeciągnęły sznur w poprzek drogi.

Nasze proste, wyspiarskie zwyczaje niecierpliwiły widocznie mego męża. Parę razy spuścił okno samochodu i rzucił garść srebrnej monety, wołając równocześnie na palacza, by jechał prędzej. Ledwie wyjechaliśmy za wieś, opadł na siedzenie, mówiąc:

— Nieba! jakim ja śpiący! I nic dziwnego. Tak późno się położyłem i tak wcześnie wstałem.

Zaczął ziewać i wnet, zamknąwszy oczy, usnął.

Było coś przykrego, niemal ohydnego w tym śnie. Policzki mu nabrzmiały i opadły, usta się rozwarły, oddychał ciężko, a chwilami chwytał powietrze wargami, jak ryba, wyjęta z wody.

Nie mogłam oderwać oczu od jego twarzy. Nieopisane uczucia napełniały mi duszę. Był to wstręt i upokorzona duma. Powtarzałam sobie, że takim jest *to*, do czego należę, i co należy do mnie.

Droga do Blackwater wiodła po skłonie wzgórza, wystawionego na wiatr. Gwałtowne podmuchy utrudniały bieg samochodu. Ulewny deszcz bił o dach i dostawał się do wnętrza przez niedość ścisłe spojenia landa. Kilka kropel upadło na nos śpiącemu, który zbudził się raptem.

— Wszyscy dya...

Urwał, jak złapany na gorącym uczynku, i zaczął się znowu tłómaczyć:

— Zasnąłem, co? Daruj.

Począł mrugać oczami, a po chwili popatrzył na mnie i rzekł z uśmiechem, który przejął mnie dreszczem:

— Tedy jesteśmy już mężem i żoną.

Nie odpowiedziałam, a on wciąż wpatrując się we mnie, dodał:

— Ha! mogło być gorzej, jak myślisz?

Milczałam w dalszym ciągu; on zaś począł wychwalać moją powierzchowność:

— Ależ urocza z ciebie kobietka, na honor.

Znów zadrżałam i spuściłam oczy.

— Nie odwracaj się, kochanie. Daj mi popatrzeć w te wielkie, czarne oczy. Uwielbiam czarne oczy. Przeszywają mnie, jak strzała.

Pochylił się i przyciągnął mnie do siebie. Przelękłam się i odepchnęłam go.

— A cóż to takiego? — rzekł zdziwiony.

Ale wnet roześmiał się i tonem mężczyzny, który miał dużo do czynienia z kobietami, wie, jak z niemi postępować, rzekł:

— Drożymy się ze sobą? Co! Jak wszystkie! No, no, nie trzeba.

I znów próbował objąć mnie wpół, lecz wyrwałam mu się znowu.

— O! widzę: — rzekł — obrażeni jesteśmy. Zamało nadskakiwałem mojej pani, a teraz płaci mi za to. I ma racyę! Słowo honoru, ma racyę. Ale mniejsza z tem. Jesteś dyabelnie powabnem stworzonkiem i postaram się wynagrodzić ci moją dotychczasową obojętność. Więc nie dąsaj się, panienko, i bądźmy w zgodzie.

Objąwszy mnie znów, chciał mnie pocałować, kładąc jednocześnie rękę na moich piersiach, ale uchyliłam twarz w porę.

— O! O! Tacy skromni jesteśmy! — rzekł, śmiejąc się z wielką pewnością siebie. — Ale moja mniszeczka oswoi się wprędce a i mnie zarazem. Poczekaj trochę! Poczekaj!

Teraz zaczęłam drżeć, zdjęta uczuciem zgoła mi dotąd nieznanego strachu. Stosunek męża do żony przedstawiał mi się zawsze, jak coś w rodzaju mego stosunku do Wielebnej Matki, coś pogłębionego i uduchowionego przez to, że jedno było mężczyzną, a drugie kobietą. W ten sposób pojmowałam miłość i nad brakiem takiej miłości bolałam, wychodząc za lorda Raa. Ale teraz zaskoczyła mnie rzecz nowa. Nie znalazłszy w małżeństwie tego, czego się po niem spodziewałam, znajdowałam coś zupełnie nieoczekiwanego, coś, co wyzierało z roznamiętnionych oczu mego męża i z jego głosu, gdy mi mówił: „Poczekaj trochę".

Tak mnie to przeraziło, że gdyby to było możliwe, byłabym wyskoczyła z automobilu. Pocieszała mnie jedynie myśl, że się spóźnimy na parowiec, lub że z powodu burzliwego morza nie będzie można wcale jechać. W jaki sposób miało to wpłynąć na poprawę mego położenia, nie umiałam sobie zdać sprawy, dość, że tak było i zaczęłam z gorączkowym niepokojem obserwować przewalające się po niebie chmury.

Mąż mój zasunął się znów w kąt samochodu wielce rozgniewany. Począł narzekać na tę „przeklętą wyspę" i waryactwo mieszkania na niej, przewidywał, że parowiec opóźni się w drodze, i że stracimy połączenie z Londynem.

— To by dopiero była awantura! A ja muszę tam być koniecznie jutro rano.

Dobrnęliśmy wreszcie do Blackwater. Mąż mój wychylił się przez okno pomimo deszczu i skinął na stojącego na mokrem, pustem molo lokaja, który podszedł do automobilu i starając się przekrzyczeć ryk bałwanów, rzekł:

— Kapitan nie wypłynie dziś, milordzie. Powiada, że byłoby to niebezpieczne.

Mąż mój począł kląć straszliwie. Byłam jeszcze nieprzyzwyczajona do przekleństw, lecz pomimo przykrości, jaką mi słuchanie ich sprawiało, doznałam uczucia ogromnej ulgi.

— Cóż robić, milordzie. Nie pozostaje nic innego, jak zaczekać w Blackwater, a może się jutro wypogodzi. Zamówiłem już pokoje w hotelu.

Z bijącem sercem czekałam na odpowiedź mego męża.

— Ha! oczywiście, Hobson. Skoro trzeba, to trzeba.

Chciałam coś powiedzieć, ale nie znajdowałam ani słowa, ani głosu w zesznurowanem nagle gardle.

...Weszłam do zamówionych w hotelu pokojów z uczuciem niewypowiedzianej trwogi.

Rozdział XXIX.

Gdym zaczęła pisać te wspomnienia, postanawiałam sobie, że będę pisać prawdę i tylko prawdę. Ale teraz widzę, że ta prawda wymaga, bym przestąpiła próg najświętszych tajników kobiecego życia, i pytam sama siebie, jest li to potrzebnem wkraczać do tego sanktuaryum?

I dochodzę do przekonania, że jednak tak jest, pomimo, że kilkakrotnie próbowałam spełnić to zadanie; darłam już zapisane kartki, bo zawsze było tam powiedziane albo zawiele albo zamało. Sprobuję raz jeszcze.

Weszłam do zamówionych w hotelu pokojów z uczuciem niewypowiedzianej trwogi i zawstydzenia. Nie było we mnie nic z tych subtelnie radosnych wrażeń kobiety, która po raz pierwszy znajduje się sam na sam z ukochanym mężczyzną w obrębie czterech ścian, mających się stać świątynią najdroższych i najdziwniejszych tajemnic. Byłam raczej, jako dziecko, błądzące nocą ze świecą poprzez ciemny korytarz pustego domu, i spostrzegające nagle obcą twarz.

Nasz hotelowy apartament składał się z trzech łącznych pokoi z salonikiem pośrodku i dwiema sypialniami po obu stronach. Sypialnia na prawo była obszerna, z wielkiem łożem pod baldachimem; ten na lewo był to mały pokoik o żelaznem łóżku, przeznaczony widocznie dla służącej. Ja nie miałam dotychczas pokojówki. Było postanowione, że zgodzę sobie francuzkę w Londynie.

Zaledwie weszliśmy do saloniku, mąż mój, wciąż w złym humorze, zszedł na dół, mruknąwszy coś, że musi posłać ważne depesze do Londynu i wydać polecenie Hobsonowi.

Nie rozbierając się z podróżnego płaszcza, przystąpiłam do okna. Hotel leżał na skalistem wzniesieniu, tuż nad zatoką, i huk morza, rozbijającego się o kamienie mola, dochodził do mnie z ogłuszającym rykiem. Parowiec, którym mieliśmy jechać, stał na kotwicy, buchając parą z czerwonego komina i podrygując ciężko od naporu bałwanów.

Byłam tak zdenerwowana, tak przejęta nieokreśloną trwogą, że nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Tragarze wnieśli kufry, pytając, gdzie je mają stawiać; nie odpowiedziałam im, więc poustawiali moje rzeczy i mojego męża w sypialni na prawo. Weszła pokojówka i zapaliła ogień na kominku.

Po niejakim czasie wrócił mój mąż już w lepszem usposobieniu, mówiąc:

— Przeklęte utrapienie, ale co począć — trzeba się z niem pogodzić.

Roześmiał się i, przystąpiwszy do mnie, szepnął z uśmiechem jednocześnie dziwnym i namiętnym:

— Chyba nam się czas nie będzie dłużył do jutra rana. Jak myślisz, moja śliczna?

Zaczerwieniłam się gwałtownie, sama nie wiedząc, czego.

— Jeszcześ się nie rozebrała?— zapytał. — Czekaj, pomogę ci.

Zdjęłam kapelusz, a mąż mój uwolnił mnie z oszytego sobolami płaszcza, poczem objął mnie i przycisnął do siebie.

Zaczęłam trząść się, jak liść. Spostrzegł to i, zaśmiawszy się, rzekł:

— Jeszcześmy się nie c[illegible]ili? No, no, to przejdzie.

Wciąż śmiejąc się, podniósł mi ręką twarz i pocałował w usta.

Nie umiem wypowiedzieć, jakim wstrętem przejął mnie ten pocałunek. Instynktownie niemal wyciągnęłam ręce, by go odepchnąć.

— No, no; to już trochę zawiele tego dobrego — rzekł nawpół żartobliwie, nawpół seryo. — Jeszcze w automobilu, rozumiem, ale tu, w mieszkaniu...

Urwał i, znów śmiejąc się, dodał, że jeżeli to pochodzi stąd, iż mnie jeszcze nigdy nikt nie pocałował, to mu tem milszą jestem.

Zawstydzona, nie wiedząc, co ze sobą począć, siadłam na krześle przed kominkiem. Mój mąż popatrzył na mnie z uśmiechem, poczem stanął za mną, położył mi ręce na ramionach i pocałował w kark.

I znowu zadrżałam od stóp do głów. Podniosłam się i zmieniłam miejsce. Mój mąż przyglądał mi się z widoczną chęcią parsknięcia śmiechem. Było to dumne, zuchwałe, a jednocześnie namiętne spojrzenie mężczyzny, któremu ani się śniło nawet, że mógłby natknąć się na opór.

— A to zabawne! — rzekł. — Ale zobaczymy jeszcze, zobaczymy!

Zadzwonił na numerowego i gdy ten przyszedł, kazał natychmiast podawać obiad, choć było jeszcze wcześnie. Odetchnęłam. Obecność trzecich osób przyniosła mi pewną ulgę.

Podczas gdy nakrywano do stołu, mąż mój zaczął rozmawiać o dzisiejszym dniu i zapytał, kto był ten „stary pała", który nam palnął „kazanie", zapomniawszy, że go już przedtem widział.

Odpowiedziałam, że to był Ojciec Dan i że, jeżeli są święci na ziemi, to on jest święty.

— Święty? — rzekł mój mąż.— Szkoda, że to bardzo często znaczy to samo, co idyota.

Poczem zaczął rozwijać swoje poglądy na „święty stan małżeński". Takie przykuwanie do siebie ludzi, którzy chcieliby żyć każde z osobna, staje się często powodem większych nieszczęść i upodlenia, niż wolne związki, i niedorzecznością jest zmuszać mężczyznę do naprawiania małżeństwem jakiejś chwili zapomnienia, o ile nie chce uchodzić w oczach świata za uwodziciela i łotra.

Rozprawiając w ten sposób, mąż mój nie zdawał sobie zgoła sprawy, jak dalece za każdem słowem odsłania przedemną swe istotne ja i jak wstręt, który do niego powzięłam, zwiększa się i przeradza w nieprzezwyciężoną odrazę.

Zasiedliśmy do obiadu. Mąż mój jadł łapczywie i pił dużo. Parę razy nalał mi szampana i zmusił, bym się z nim trąciła. Ze względu na obecność służby, nie sprzeciwiałam mu się i nawet udawałam wesołość.

Zachęcony tem, zaledwie drzwi się zamknęły za lokajami, pogasił światła, przysunął kanapkę przed kominek i, posadziwszy mnie, sam usiadł obok i rozpoczął swoje czułości.

— No, jakże się czuje moja mniszeczka? — rzekł. — Boi się trochę? Co? Wszystkie się boją z początku.

Wino buchało od niego. W kominkowem świetle ujrzałam wystające przednie zęby, zazwyczaj skryte pod wąsem, które zauważyłam, gdy go pierwszy raz widziałam, i ciemny porost włosów na rękach, i mój fizyczny wstręt do tego człowieka przyprawił mnie niemal o mdłości. Spróbowałem uwolnić się z jego objęć.

— Puść mnie, pan, — rzekłam.

— Ani mi się śni — odpowiedział ze śmiechem, przytrzymując mnie. — Ach ty mała czarodziejko! Drażnisz się ze mną. One wszystkie tak się lubią drażnić.

Źrenice błyszczały mu, jak żużle. Zamknęłam oczy, aby uniknąć jego widoku, ale w tejże chwili uczułam jego rękę, sunącą po mojem ciele i, w przystępie oburzenia, zerwałam się na równe nogi.

Podeszłam do okna, a on wnet znalazł się obok mnie.

— Co ci się stało? — rzekł gniewnie. — Nie mogę pojąć. Cóż złego zrobiłem? Alboż nie jesteśmy mężem i żoną?

Nic nie odpowiedziałam. Czułam, że mi serce stygnie w piersiach. Czułam się znieważoną w mojej przyrodzonej skromności i godności kobiecej.

Ściemniło się już zupełnie. Deszcz bił o szyby. Morze rozbijało się z rykiem o skały. Zapragnęłam uciec gdzieś, ale byłam uwięziona, fizycznie i moralnie uwięziona.

Mąż mój zapalił cygaretkę i zaczął się przechadzać po pokoju. Po chwili zbliżył się znów do mnie, położył mi rękę na ramieniu i rzekł:

— Rozumiem teraz. Jesteś zmęczona i nic dziwnego. Po takim wyczerpującym dniu. Idź i połóż się. Jutro musimy wstać wcześnie.

Rada, że mogę mu się wymknąć, pozwoliłam mu się zaprowadzić do sypialni. Gdy wychodził, mruknął coś, że będzie czekał; potem zamknął drzwi i zostawił mnie samą.

DCN.

Wiadomości literackie.

Z literatury polskiej.

ROMAN DMOWSKI. *„Niemcy, Rosya i kwestya polska"*. Wydanie nowe.

Przywódca narodowej demokracyi, R. Dmowski, wydał w nowej edycyi oryentująca książkę o zwrocie opinii międzynarodowej w sprawie polskiej. Obecnie odbywa się proces odnowienia sprawy, nad którą przeszły gabinety mocarstwowe do porządku dziennego po 63 roku. Gdyby nie tendencya partyjna, która zabarwiona jest praca Dmowskiego w kilku miejscach, książkę jego należałoby polecić bezwzględnie szerokim kołom polskich czytelników. Powinien przecież wiedzieć ogół, jak się ważą jego losy, kto trzyma rękę na ich szali! Niemcy — oto nasz wróg; ich rolę Dmowski oświetla doskonale i zwięźle.